

# Teatr Wiejski Węgajty - podążanie za słońcem

Przystanek Jonkowo. Szosą w dół, za kościołem wyłania się droga i znak: „Węgajty 2 km”. Aleja starych brzoź. Biel pni poszarzała - czas, a może wiatr i wilgoć zasiały na korze kwiaty porostów o barwie przygasłej zieleni. W pierwszej chwili nie poznałabym, że to brzozy. Brak im tej słynnej brzozobiałej niewinności, lekkości tanecznej i tkliwej. Nie przypominają cmentarnych kostuch, śmierciczek w białych szatach płóciennych, raczej jak stare wiedźmy, garbate, chylą się ku drodze. Wyniosłe, dostojne, potężne. Z grubych konarów zwieszają ku ziemi cienkie pędy brzozowego włosia. Gdy deszcz - perlą się w nich krople, koraliki deszczowe potrącane wiatrem.

Dalej młodnik, brzeziniak zastygły w pajęczynę zaplecioną na gałązkach deszczem. Na lewo wzgórze i sosny, „w które bije wiatr...”. W tym miejscu zawsze przystaję i słucham w napięciu, jak wiatr recytuje „Pieśń piątą” Stachury. Mgła, dżdżyste, wilgotne powietrze. Ziemia jakby ospała, trawy, łąki w kolorach deszczowej impresji. Panna melancholia na flecie gra. Cisza. Czasem coś przejedzie.



Fot. Paweł Klimek

Słońce karmione chłodem. Jakby brzuch światła złotego mgła rozsadzić chciała od środka, jak boja po niebie płynąca. A ono studziennie, chłodne, bez dna...

W żadnym innym miejscu odczucie nieba i Słońca nie jest tak silne, jak tutaj. Nigdzie indziej nie spada tak na kark, nawet w pochmurną pogodę. Ta ziemia przypomina mi czasem partyturę ludzkich nastrojów. Gdy słońce wyjrzy zza chmur, niebo się „rozniebieszczy” i rozpocznie spektakl – pagórków „falowanie na wietrze”.

Pory roku jak stare wróżki-przędki tkają ze swych nici obrazy chwil, słonecznym rytmem mierzonych. Wiosenne roztopy, tańce żurawi na wzgórzach i łubiny – jak kleks boży, atramentowe niebo na ziemi kwitnące, przypominają o Alilujce, wielkanocnym kołędowaniu, czasie radości, śpiewów, wyprawy i spotkań z ludźmi z suwalskiego Dziadówka.

Latem słońce rozlewa się po łąkach, miodne i złociste. Żaby po żabiemu sobótkowe pieśni w stawie kumkają, wianki na tafli wody się kołyszą, płoną sobótkowe ognie i do tego muzyka, że nogi same rwą... Cała wieś się schodzi – do remizy, która w magiczny sposób poszerza objętość, gdy wir ciała rozgrzeje, rozżarzy ją tańcem od środka i wszyscy się mieszczą, choć na co dzień stoi tam jedynie stary strażacki wóz. Nie zrozumie, nie poczuje, kto nie odda się muzie szaleństwa, nie zatrafi w wirze oberków, polek, hucułek, nie zapomni na dobre...

Zima cicha, z psów ujadaniem, biała, pustynna, ze śladami ścieżek jak palcem wytartych na śniegu. Tylko wbita w zaspę deska z czerwonym napisem „Teatr” wskazuje kierunek. Zamiast słońca, w chałupie płonie ogień w kominku.

Powietrze pachnie świętem, rychłą starego w nowe przemianą. Rośnie „przed-kołędnicze” napięcie. Zaczyna się czas magiczny, uroczysty i psotniczy zarazem. Cygan, turoń, koza, śmierć z Herodem i Żyd stary szykują się na spotkanie z miejscowymi gospodarzami. W śniegu, mrozie, ze światełkiem lampionu na przedzie rusza kołędników korowód. Spomiędzy śpiewów słychać okrzyk „Idzie się!”, dźwięk ligawki odbija echo. Od domu do domu, od okna do okna – z kołędą, błogosławieństwem na rok nowy: „Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok, żeby wam się rodziła kapusta i groch”.

Wraz ze zwycięstwem słońca nad mrokiem, dnia nad nocą, życia nad śmiercią – kończy się postny czas, zaczyna karnawał. W lutym sam pan Zapust z orszakiem na koniu wjedzie, śmiech i radość – szaleństwo ludziom niosąc.

Tak rodzi się teatr, teatr drogi, wyprawy w głąb tradycji i przed siebie – ku ludziom, pamiętającym jeszcze życie, kiedy jedynym wyznacznikiem czasu było właśnie Słońce i jego obrzędowy rytm. Wiosna, lato, jesień, zima. Wielkanocne śpiewy, sobótkowe ognie, zimowa kołęda, karnawał. Teatr drogi, życia, podążania, jak w tańcu – „za słońcem”.

Dagmara Stanosz

P.S. Są miejsca, o których nie da się pisać „normalnie”, obiektywnie, których nie wystarczy zobaczyć, a aby poznać, zrozumieć, trzeba je w sobie przeżyć.